

Rozdział dwudziesty czwarty

Z wysokiej polany

Z wysokiej polany
Ku wam tu idziemy,
Ojc-iznie Ludowyj
Plony oddajemy.

Sium wodo, sium wodo,
Sium, wodzicko, wodo,
Góralskom urodom,
Wiec-istom ślebodom.

Zofia Solarzowa

Białe Dunajec. Góralska piękna wieś. Związałam z nią swoje życie, swoje nadzieje, serce i myśl.

Nie będę pisała o początkach pracy w zespole góralskim „Białe Dunajec”. Były trudne. Opisałam je w książce pt. *Skalni ludzie* wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą i w nieopublikowanej jeszcze książce zatytułowanej *Skalne drogi*. Skalne – to nie naśladownictwo Tetmajera i nie patos literacki, tylko po prostu: trudne, twarde, takie, na których raz wyrzeźbione znaki czy wyryte słowa pozostają niezniszczalne.

Przewinęło się przez zespół ponad sześćdziesięcioro dziewcząt i chłopców. Niektórzy byli w nim przez wszystkie szesnaście lat. Należeli do zespołu także ludzie starsi: Jan Łukaszczyk-Studniar z Gliczarowa¹, Helena Matyga, gaździ-

¹ Gliczarów, wieś w pow. tatrzańskim, w gm. Białe Dunajec. Jedna z najwyższej położonych wsi w Polsce, stara, wzmiankowana w źródłach już 1630 roku. Po wojnie miejscowość bardzo się rozbudowała, zmieniła charakter na letniskowy i podzieliła się na Gliczarów Dolny (starszy) i Gliczarów Górny (młodszy). W Gliczarowie Dolnym znajdują się szkoła podstawowa oraz kaplica pod wezwaniem Świętego Jana Chrzciciela. Gliczarów Górny jest siedzibą parafii (kościół pod

na z Białego Dunajca, Władysław Gondek, dla którego udało mi się zdobyć etat instruktora. Członkowie zespołu tworzyli, po kilkunastu latach pracy, grupę wewnętrznie zdyscyplinowaną, pozbawioną cech powszechnie występujących w zespołach wiejskich ostatnich lat, szczególnie góralskich: zawiści wobec innych zespołów, zewnętrznego efekciarstwa, podwójnego oblicza wobec swoich i wobec władz, chęci popisu za wszelką cenę i żądzy nagród. Mówię tu o czasach, w których zaczynałam pracę w Białym Dunajcu.

Rzetelność i społeczna gotowość, prawdomówność i serdeczna życzliwość wobec ludzi swoich i „nie swoich”, ciekawość świata i poczucie łączności z innymi środowiskami w kraju przy zachowaniu własnej góralskiej godności – to cechy, które w dużym stopniu wypracowaliśmy sobie, wzajemnie sobie pomagając, co wcale nie przychodziło łatwo. Zaczynałam w atmosferze nieufności. Dzisiejsza młodzież nie zna już takich stosunków na wsi. Wtedy bano się, że młodzi grzeszą na próbach odbywających się w poście czy w piątki, że za grzechy zespołu Pan Bóg spuści na Dunajec kary i plagi burz, gradów czy powodzi.

Prawda, były piękne zespoły, dawno przed wojną, ale i praca prowadzona była w atmosferze religijnej, kierowali nią swoi ludzie, bo i Helena Parówna-Zachemska, i Aniela Stapińska były miejscowymi góralkami, a Antoni Zachemski, znany pisarz Podhala, pochodził z pobliskiego Odrowąża².

Ich życie nie było osłonięte tajemnicą przybyszów, i to „ceprów”, z którymi należy żyć w przyjacielstwie, ale swoje o nich myśleć.

By móc całkowicie oddać się pracy, zamieszkałam w Dunajcu u swoich najbliższych gazdów, Franka Matygi-Potarganego i jego żony Heleny. Mój starszy syn Jędrzek ożenił się, a Ciocia Lena i młodszy syn mieli nadal opiekunkę w Józi. W mojej umowie była zgoda ministerstwa na przyjazdy moje do domu co miesiąc na kilka dni. Zwykle te wyjazdy bywały konieczne dla załatwienia spraw służbowych.

Po kilku miesiącach pracy zaprosiłam na kierownika administracyjnego rozwijającego się zespół Stefę Szychtownę, z którą pracowaliśmy w Brusie. Stefa stała się w Dunajcu człowiekiem bliskim i kochanym, opiekuńczym i rozbrajałym niespożytą żywotnością i temperamentem iście góralskim.

Zespół należał do departamentu opiekującego się „Mazowszem”, a potem i „Śląskiem”. Nie znam słów dla wyrażenia serdeczności pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, które zaufało mi, otoczyło zespół rzetelną opieką, nie tylko finansową. Inspektorzy z naszego departamentu przyjeżdżali do Dunajca

wieczaniem Przemienienia Pańskiego), znajduje się tam także zespół szkół (podstawowa i gimnazjum). Atrakcją Gliczarowa Górnego są trzy karczmy regionalne.

² Odrowąż, duża wieś na Podhalu w pow. nowotarskim, w gm. Czarny Dunajec.

często, organizowali spotkania nasze z działaczami Podhala, bywali na występach zespołu, znali każdego członka, każdą piosenkę, nasze codzienne sprawy. Żyli naszymi zmartwieniami i naszą radością.

Nie, to nie byli urzędnicy. Ani pan Andrzej Zięc, nieżyjący już, ani miła pani, której nazwiska zapomniałam, ani dyrektor departamentu, który wykazywał zrozumienie spraw zespołu i troskę o jego rozwój. Żeby jednak nie było tak bardzo dobrze, z niechęcią do zespołu nie kryły się krakowskie władze z resortu kultury. Na każdą próbę porozumienia się z nimi, na każdą prośbę czy chęć przedstawienia naszych planów czy problemów odpowiadano: „Proszę się zwrócić do Warszawy. Warszawa tu panią przysłała, niech się o was troszczy”.

Żeby było jeszcze zabawniej, „Wielcy Górale”, zresztą bardzo zacni i serdeczni ludzie, człowiecze „szczyty” Zakopanego, także czuli się niezadowoleni z racji wprowadzania naszych obyczajów, odbiegających od tradycyjnych obyczajów w zżytej, chociaż nie zawsze kochającej się gromadce „uczonych w piśmie” reprezentantów góralszczyzny. Nie dziwiłam się, nie gorszyłam. Kiedy mi mówiono, że jako „ceper” nic nie zrobię z góralami, że prędzej „Wielkim Góralom” włosy na dłoniach wyrosną, niż ja osiągnę jakieś rezultaty w Dunajcu, śmiałam się, dalej szanowałam proroków, a kiedy członkowie zespołu żalili mi się na szykany z ich strony, tłumaczyłam, że przecież jeszcze nie zaślezyliśmy na zaufanie, że trzeba mieć cierpliwość, iść z sercem ku ludziom nawet pozornie wrogim.

Był potem czas, kiedy „Wielcy Górale” przyznali nam prymat wśród zespołów Podtatrza. Potem... zaczął się ruch cepeliowski, wyrosły świetne zespoły innego typu, wreszcie przyszedł zmierzch Dunajca.

Co osiągnęliśmy. No więc udało nam się porwać tę wielką wieś i wsie okoliczne do budowy Domu Ludowego. Od Zakopanego do Nowego Targu ciągnie się ogromny szmat Podhala, na którym nie ma ani jednego domu z dużą salą, z miejscem sposobnym do przedstawień, zebrań czy uroczystości. W samym Dunajcu stara remiza groziła zawaleniem, była zresztą mała i niewygodna.

Miałyśmy już ze Stefą zrobioną dokumentację i obietnicę ministerstwa, że otrzymamy na początek milion złotych, a na miejscu zgłoszenia do bezpłatnej pracy przy budowie – ze strony szkół, naturalnie członków naszego zespołu, wszystkich techników budowlanych z Dunajca, nawet pani inżynier Górskiej, której piękne budowle ratują Zakopane od całkowitego zeszpecenia szkaradą pudełkowego budownictwa. Zaofiarowała pani inżynier bezinteresowny nadzór nad budową. Chłopi dunajeccy zwieźli już na kupy dużo kamienia wydobytego z Dunajca, Rada Gromadzka cechowała drzewa w gromadzkim lesie. Dzieci z Dunajca, Rada Gromadzka cechowała drzewa w gromadzkim lesie. Dzieci w szkole z życzliwą aprobatą nauczycielstwa pisały na tablicy: „Budujemy w Dunajcu Dom Ludowy”.

Nawet poczta zakopiańska, której agencja znajduje się w Dunajcu, zgłosiła dużą sumę pieniężną na dom, w którym chciała się pomieścić. Fabryka Tektury w Białym Dunajcu i Kombinat Obuwniczy w Nowym Targu – miały służyć transportem. Zapał, życzliwość ludzi, autorytet zespołu – wszystko to tworzyło klimat niezwykle sprzyjający wspólnej sprawie, wspólnej robocie. Wszyscy widzieli już ten dom, mówili o nim, pragnęli go.

Było to szczególnie dużym zwycięstwem dlatego, że Dunajec raz na zawsze wyrzekł się starań o budowę Domu Ludowego. Było to kilka lat przed wojną. Ktoś poderwał wieś do tej budowy, obiecał, zmobilizował i... jak zwykle (podobno) pokonał dunajczan Poronin. Tam ulokowano pieniądze i tam budowano. Od tej pory dunajczanie byli ludźmi niewierzącymi w sens jakiegokolwiek działania społecznego.

Rzeczywiście, ta ogromna wieś, pełna zdolnych, ciekawych i przedsiębiorczych ludzi, była traktowana po macoszemu. Nie od niej zależało na przykład usytuowanie w okolicznym terenie sklepów.

Znane są niedostatki dunajeckie jeśli chodzi o zaopatrzenie w produkty spożywcze, w jarzyny, nabiał, mięso... Wiedzą to dobrze letnicy, odczuwają dotkliwie dunajczanie. A w Poroninie wspaniałe sklepy, zaopatrzenie doskonałe.

Tak więc wysoko ceniłam ten zryw do budowy, do którego dali się porwać ludzie w Dunajcu. Zapanowała we wsi atmosfera jedności i wzajemnej życzliwości, jak zwykle przy wspólnym dziele dobrowolnym, nienarzuconym, niekierowanym przez despotę. Niestety. Musiał Dunajec przeżyć klęskę po raz drugi. Bo właśnie przyszedł proces decentralizacji i przekazania odpowiedzialności radom narodowym. Więc staliśmy się nagle zależni od Krakowa. Nasza przystojna niewieścia władza kategorycznie przekreśliła budowę Domu Ludowego w Białym Dunajcu.

Nie podjęłabym się już po raz drugi zaczynać tam rozruchu społecznego w jakiegokolwiek sprawie. Przygnębienie było wielkie. Wymawiali mi ludzie moją wiarę... Mówili: „Bo wy, kierownicko, patrzicie przez różowe szkiełka. Uwidzicie, będzie się coś budowało w Poroninie”. Zgadli. Stała tam piękna, wielka remiza strażacka.

Jakże zmałał autorytet zespołu. Przecież i Kombinat Obuwniczy w Nowym Targu, i Fabryka Tektury w Białym Dunajcu obiecały dać samochody dla transportu przy budowie. Czy nie mieli się z czego śmiać? Góra mysz urodziła. Ale to jeszcze nie była klęska zespołu. Przeciwnie. W tych latach właśnie dorósł on do poziomu dobrego zespołu góralskiego, ludowego, niepróbującego stylizacji czy jakichkolwiek form teatralnych niesamorodnych, narzuconych przez ludzi profesjonalnych.

Pracowaliśmy ciężko. Budżet nasz, niemały, mieścił w sobie duży wkład finansowy samego zespołu, pochodzący z zarobionych przez nas pieniędzy. Trze-



Członkinie zespołu artystycznego w Białym Dunajcu zorganizowanego i prowadzonego przez Z. Solarzową śpiewają: „Ej, sium wodo, sium wodo, sium, wodzicko, wodo. Ej, góralskom urodom, wiec-istom ślebodom...”

ba było co miesiąc dać występ, a staraliśmy się o coraz to nowy program. Wyjeżdżaliśmy do wielu miejscowości w kraju. Tradycyjnie do Nowej Huty i na Barbórkę na Śląsk. Tradycyjnie też na ogólnopolskie dożynki. W Olsztynie byliśmy dwa tygodnie, a daliśmy w miastach i wsiach okolicznych Warmii i Mazur kilkanaście występów. Objechaliśmy Rzeszowskie i Krakowskie, Kielecczynę i Lubelskie, Łódź i Warszawę (wiele razy), podwarszawskie i liczne fabryki.

Dawaliśmy często występy w Zakopanem, w Kościelisku, w Bukowinie³, w Rabce, w Nowym Targu i w wielu jeszcze miejscowościach Podhala. Wymieniam tu występy płatne, zamawiane, planowane i organizowane przez nas. A przecież zespół nie szczędził sił na występy bezpłatne dla górali w kręgu powiatu i dalej. Dziś jeszcze wspominają nasze miłe i życzliwe nam władze w powiecie, jak to się dunajecki zespół stawiał na każde ich zawołanie, nie wynosząc się ponad środowisko z racji swego przywileju, jakim była opieka Ministerstwa Kultury i Sztuki, a potem dobra sława i ludzka życzliwość.

³ Bukowina Tatrzańska, duża turystyczna i letniskowa wieś na Podhalu w pow. nowotarskim, siedziba gminy i parafii (dwa kościoły pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa), zabytki: największy drewniany budynek w Polsce, siedziba Domu Ludowego oraz pensjonaty budowane w okresie międzywojennym w stylu zakopiańskim, projektowane przez architekta Jana Witkiewicza.

Trzeba też wiedzieć, że nasze wyjazdy bywały dalekie i czasem pobyt zespołu na dożynkach czy w gościnie, na przykład w Domu Kultury w Olsztynie, trwał kilka tygodni. Wszyscy członkowie pracowali nie tylko w swoich gazdówkach, ale także w rzemiośle. Pół biedy z kobietami, „plotły” one swetry, czapki czy rękawice w pociągu, wszędzie, gdzie się dało. Ale mężczyźni tracili na wyjazdy grube tysiące. Był to okres mody na kapce. Bywało, że nasi chłopcy zarabiali na produkowaniu kapcy po kilka tysięcy miesięcznie.

A próby? Przecież odbywały się cztery razy w tygodniu i trwały do północy i dłużej. Zabierały góralom wieczory, w czasie których właśnie trudnili się szewstwem. A sianokosy? A żniwa? Trzeba było najmować za siebie kosiarzy i innych robotników i płacić im ponad sto złotych. To nie były żarty. Bo wielu z naszych chłopców pracowało na budowie, u ludzi albo u siebie, i znów trzeba było za siebie najmować. Podziwiam ich naprawdę.

Przecież niektóre dziewczęta i kobiety z wierchów, jak Anielcia Fiustka, He-la Gał i inne z sąsiednich wsi, musiały przejść do szesnastu kilometrów w obydwie strony i wracać po północy. A chodziły systematycznie, nawet w mrozy i deszcze, w najciemniejsze noce. Chodziły tak lata. Owszem, pół roku, rok można się zdobyć na taki wysiłek, ale niektórzy chodzili tak i dziesięć lat. Moi najmilsi, jakże was nie szanować, nie wspominać ze wzruszeniem.

Po dwóch latach takiej ochotniczej pracy członkowie zespołu powiedzieli, że tak dalej być nie może. Rodzice się buntują, oni zbyt dużo tracą. Nie chcą odejść z zespołu, ale w takich warunkach nie mogą pracować dłużej. Właśnie – pracować. Już powiedziałam, że to była ich ciężka praca. Wymagałam od nich rzeczy, na które z początku niechętnie się godzili. Miałam z nimi wykłady, wprowadziłam wspólne czytanie, rozmowy i dyskusje.

Tu muszę się zatrzymać na ważnej sprawie, którą trzeba wyjaśnić. Pytali mnie przyjaciele, dlaczego tak gorliwie przekonywałam górali do Lenina, do socjalizmu, nawet zorganizowałam w zespole koło ZMP⁴. Myślę, że sprawa jest jasna. Socjalizm jest ustrojem, w którym można świat ulepszyć. Jest ustrój socjalistyczny w Polsce. Jest Muzeum Lenina w Poroninie⁵ i jest jego dom w Białym Dunajcu. Młodzież w kraju jest zorganizowana, poznaje się nawzajem, poznaje

⁴ Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), organizacja młodzieżowa powstała w 1948 roku z połączenia Związku Walki Młodych, Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”, Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Związku Młodzieży Demokratycznej. Związek był nazywany przybudówką PZPR, działał pod jej zwierzchnictwem i kuratelą. Uczestniczył, jak to się górnolotnie wówczas mówiło, w budowaniu Polski Ludowej i socjalizmu. Przynależność była dobrowolna, ale członkowie ZMP mieli ułatwiony start na studia wyższe i w pracy zawodowej. W 1955 roku ZMP liczył około dwóch milionów członków, rok później „padł ofiarą” październikowych przemian w Polsce i został rozwiązany na początku 1957 roku.

⁵ Muzeum Lenina w Poroninie zostało zamknięte w 1990 roku.

świat, uczy się wiele nowego. Należy wiedzieć, jak być powinno, postępować według intencji i wskazań twórców tego ustroju, tego sposobu społecznego życia. Trzeba z najlepszą wiarą i serio traktować ideę, do niej przymierzać siebie i życie, na które wywieramy wpływ.

Kiedy mieliśmy występować na uroczystości poświęconej Leninowi, trzeba było dużo o nim powiedzieć, żeby tę postać przybliżyć młodzieży, rozjaśnić, bo przecież i oni sami, i ich dzieci będą się w tym kręgu leninowskich tradycji wychowywać, będą tu żyć. Niech go poznają i uszanują, niech zrozumieją jego myśl.

Więc dopiero wtedy, kiedy wierzyłam im, że rozumieją przynajmniej sprawę Lenina, mogłam się zgodzić na tę naszą miłą piosenkę, która więcej ich nauczyła i bardziej do Lenina przybliżyła, niż mógłby tego dokonać suchy, rzeczowy wykład. Piosenkę tę ułożył na moją prośbę Dominik Cudzych, góral, który większą część życia spędził poza Dunajcem, na wschodzie kraju, w majątku żony, który jednak powrócił do rodzinnej wsi i oto pomaga nam wyśpiewać to, co mamy w myślach i co nas przenika, w tej piosence:

To nase Podhale
Słynie het, daleko,

Dawni się tu żyło
Cięsko, a nie leko.

Nas Bioły Dunajec

Blisko Poronina

Ka z całego świata

Jездzom do Lenina.

Lenin u nos siedzioł,

Tu ukladoł plany,

Co by nie rzondziely

Nad chłopami pany.

Dziś Polskę Ludowom

Budujemy nowom,

Fabryki stawiomy,

W miasto chlyb dawomy.

Skończyli my zbiórki⁶,

Oddomy do ziorka,

Niek robotnik miele

Na kluski do gorka.

A kie na Podhole

Przyjadom letniki,

To se bedom jedli

Nase moskoliki⁷.

⁶ Zbiórki – żniwa.

⁷ Moskole – placki pieczone na blasze. Dawniej owsiane.

Tak samo było z uroczystością na mogile funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa i MO, którzy padli od kul ludzi wojujących z nowym ustrojem. Po obu stronach byli zabici nasi Polacy. Słusznie mówili mi to członkowie zespołu. Ale jedno jest pewne, że w mogile tej leżą ludzie, którzy zginęli, walcząc o sprawę ludzką, o lepszą przyszłość, o swoją społeczną wiarę. Uczcijmy w nich wszystkich ludzi ginących za sprawę lepszej przyszłości, za ojczyznę. Włączymy tych, którym nad mogiłą gra wiatr górski na dźwięcznym metalu pomnika „wyzdajanego” przez Hasiora⁸, wielkiego artystę, włączmy ich do wielkiej rodziny bojowników o sprawę ludzką, wspólną, nie dla osobistej korzyści.

Więc całym przekonaniem zespół śpiewał:

Polana, polana, na polanie wanta⁹,
Tu my pochowali wczoraj partyzanta.
Polana, polana, na polanie trowa,
Płacom po niem dzieci, płace po niem gdowa.
Polana, polana, kosiorze jom kosom,
Krwiom je użyżniono i obmyto rosom.
Polana, polana, zielono polana,
Pudzieme se na niom raniutko do siana.
Nie trza nam banować¹⁰, bo się świat odmienił.
Na wojackik grobak z-icie sie zieleni.

Nasza przyjaźń z Kombinatem Obuwniczym w Nowym Targu także znalazła wyraz w śpiewkach:

Nowy Tarzek nowy, ozwij się siumnie
Nie pudem ku światu, bo świat prziseł ku mnie.
Nowy Tarzek stary, a Kombinat nowy,
Bo się nam urodził w Ojc-iznie Ludowyj.
Niekze się nom rodzom takie pracowiska,
Robote i dobroć niek majom ludziska.

A na dożynkach powiatowych urządzonych w Białym Dunajcu śpiewaliśmy:

⁸ Władysław Hasior (1928–1999), rzeźbiarz, malarz, absolwent Liceum Kenara w Zakopanem i Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Twórczość Hasiora jest połączeniem kierunków nowoczesnych z tradycyjnymi. W pracach swych, często abstrakcyjnych, wykorzystywał, jak mówił, „zużyte rekwizyty codzienności”. Hasior jako jeden z nielicznych polskich rzeźbiarzy zrobił międzynarodową karierę.

⁹ Wanta – kamień, głaz.

¹⁰ Banować – tęsknić, żałować.

Teroz se w Dunajcu dwie fabryki momy,
Daj im Boże scyńście, bo se zarobiomy.

Ale uwidzimy, ftóro tys fabryka¹¹
Lepij usanuje wieś i robotnika.

Do nasego wójta to se kozdy idzie,
On sićkim pomoze w potrzebie i biydzie.

U nasego wójta to se krótko mowa,
Bo ón se rod widzi robote, nie słowa.

Panowie rolnicy z partyje, z powiatu,
Niekze nom prziniesom nowiny ze świata.
Masiny, poprawy¹², my widzimy radzi,
Bo jus dawno wiymy, jako grule sadzić.

Insyminyje tys jakosi idom,
Ale świarny bycek jesce by sie przydol.

A w Nowej Hucie zaprzyjaźnieni już z tamtejszymi ludźmi też śpiewaliśmy nie-kończące się przyśpiewki.

Kiedyś przyjechała do Białego Dunajca ekipa robotników, która naprawiała instalacje elektryczne we wsi. Mieszkali w domu naszych gazdów. Przy pożegnaniu zaśpiewaliśmy im piosenkę dla nich ułożoną. A na Barbórcie, którejś z rzędu, na śląską nutę:

Bez Bioły Dunajec, bez wode,
Idziemy tu do wos na zgode,
Ja ku tobie idem, Karliczek,
A ku Karolinie Janiczek.

Bez Bioły Dunajec, bez wode,
Podhalańskom nute, ślebode
Niesiemy tu ko wom, górnicy,
My, bacowie, gazdy, zbójnicy.

Z tym zbójnictwem też było ciekawie i pięknie. Wydobyłam najstarsze śpiewki do tańca zbójnickiego od starych ludzi i tak je zestawiałam, tak poprzedziłam mocnymi słowami o Nowej Polsce, o wywalczonej przez nas niepodległości, o bohaterstwie ludzi kochających ojczyznę, tyle zresztą powiedzieliśmy serdecznych słów o tym, czym jest dla człowieka wolność, że kiedy zbójnicy stanęli przed widownią z podniesionymi ciupagami i zaśpiewali te stare śpiewki, widownia czuła ich znaczenie dzisiejsze:

¹¹ Stara fabryka tektury i nowa „Inco”.

¹² Poprawy – nawozy sztuczne.

Nie bede sie klaniał ziandarmom i panom,
Pudem ku ślebodzie abo umrem za niom.

Także wzruszenie ludzi na widowni było szczere, kiedy nasz zespół dziewczęcy zaśpiewał na starą, piękną nutę:

Warsawa, stolica, sićkik nos zachwyco,
Bo je siumno, wiyrchowo,
My tu przyjechali od tatrzańskik holi,
Dlo nij śpiywać, tańcuwać.
Kozde przecie dziecko prziniesło serdecko
I nuciki tu dlo nij,
Bo tu ulicami jako potockami
Krew się loła w powstanie.
Przyšli hań budorze¹³, dobrzy gospodarze.
Wyzdajali jom, co cud.
Śmiejom się ulice i sławiom stolice,
Co se jom ukohoł lud.

Mogłabym tak długo, długo wypisywać te śpiewki, które układałam w Dunajcu ku zgorszeniu profesorów etnografów z Krakowa, ku pożytkowi społecznemu, bo i sami górale mocno brali w serca i umysły te treści, wyśpiewywane ich własną gwarą, na ich rodzoną nutę, a ludzie przejmowali treści góralskiego życia łatwiej, serdeczniej, głębiej. Przez pewien czas i górale z innych wsi gorszyli się tymi śpiewkami nowymi, śpiewanymi na starą nutę. A po kilku latach, za sprawą Dunajca, wszystkie zespoły góralskie śpiewały układane przez siebie nowe śpiewki.

W Olsztynie nasze śpiewki wycisnęły ludziom łzy z oczu. Wzruszenie było szczere i głębokie. Łzy płynęły w takiej ciszy, w takim zespoleniu uczuć ludzkich, że my sami na scenie nie mogliśmy opanować wzruszenia. Bo nasze śpiewki wspierała nie tylko muzyka, ale także sposób uscenicznienia ich. Zaczynała muzyka, kapela. Była to muzyka stara, Sabałowa, poważna. Jedna z dziewcząt szła w tym czasie wolno ku widowni, zatrzymywała się na skraju sceny. Kapela grała teraz bardzo cicho, a dziewczyna śpiewała:

Kohajom górole swoje siumne góry,
Teroz pokohajom Warmie i Mazury.

Śpiewaczka wolno odchodziła – druga w tym samym czasie szła ku ludziom. Kapela grała głośno. Druga dziewczyna śpiewała przy ściszonej muzyce:

¹³ Budorze – cieśle, budowniczości.

My se rodzinecka, przecie to nie bojka:
U nos pise Nyndza¹⁴, u woj pisoł Kajka¹⁵.

I dalsze śpiewki tak samo; jedna dziewczyna podchodzi przy głośniejszej muzyce,
druga odchodzi w tym samym czasie.
Dalsze strofki są takie:

Syrokie, glymbokie mazurskie jeziora,
Nie będzie tak jutro, jako było wczora.
Bedom wase dzieci na wolności rosły,
Bo ojcowe trudy na darmo nie posły.
Nad wasym Olsztynem zaświeciła zorza,
Piękno nasa Polska od Tater do morza.
Sium wodo, sium wodo, sium wodzicko, wodo,
Ojc-istom urodom, wiec-istom ślebodom.

Objechaliśmy z tymi śpiewkami, rodzącymi się często prawie na poczekaniu, całą Polskę i wiele miejscowości w Czechach i na Słowacji. A trzeba powiedzieć, że głosy w naszym zespole były piękne i śpiewanie ich – doskonałe. Tak się jakoś działo zawsze w zespołach, które prowadziłam. Nic nie narzucałam, nie uczyłam, tylko ciągnęłam, wyciągałam z ludzi ich głosy coraz czystsze, coraz pewniejsze, coraz wyraźniej wymawiane słowa, uwrażliwiałam jakoś śpiewających na tę czystość, na harmonię i na wyrazistość. Potwierdzą moje słowa ludzie z Białego Dunajca i z innych wsi góralskich. Bo nasz zespół słynął przede wszystkim ze śpiewu. Nawet gdy inne zespoły występowały w filmie czy w telewizji, głos podkładano nasz, białodunajecki. Jest też płyta naszego zespołu. Może można jeszcze ją dostać...

Pan Sygietyński¹⁶, a spotkaliśmy się z kierowanym przez niego „Mazowszem” w Nowej Hucie, powiedział: „Ja bym z tym głosami świat objechał”. A głosy te wydobywały się, ustawiały, piękniały właśnie w zespole.
Nie tylko śpiewki układałam. Zespół oddziaływał przede wszystkim żywym słowem, więc pisałam i wiersze. Te wiersze także były ożywione muzyką i uszczelnione w sposób prosty, ale bardzo wyrazisty.

¹⁴ Nyndza – Stanisław Nędza-Kubiniec (1897–1976), poeta, prozaik, polityk, przed wojną działacz PSL „Piast” (1923–1931) i Stronnictwa Ludowego (1931–1939), po wojnie w ZSL. Posel do Sejmu PRL (1957–1961).

¹⁵ Kajka – Michał Kajka (1858–1940), z zawodu cieśla, poeta ludowy, publicysta i pisarz, działacz plebiscytowy (1920), działacz Związku Polaków w Prusach Wschodnich, krzewiciel języka polskiego.

¹⁶ Tadeusz Sygietyński (1896–1955), kompozytor, popularyzator polskiej muzyki ludowej. W 1948 roku założył wraz ze swoją żoną Mirą Zimińską-Sygietyńską (1901–1997) Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”, którego był do swej przedwczesnej śmierci kierownikiem artystycznym.

Większość przytoczonych na końcu książki tekstów piosenek i wierszy – to tworzywo naszych programów w zespole dziecięcym. Zespół „Biały Dunajec”, ten macierzysty, dorosły, miał nieco inne programy, w których skład wchodziły poezje wybitnych poetów, przede wszystkim Stanisława Nędzy-Kubińca, poety Tatr. Zespół dziecięcy był liczny, żywotny, dzieci naprawdę się w nim wychowywały.

W ostatnim roku mego pobytu w Dunajcu rozwinęła się też piękna praca w zorganizowanym również przeze mnie Ognisku Muzyki Góralskiej, w którym starzy „muzycy” uczyli się najstarszych nut góralskich zapisów Mierczyńskiego¹⁷, dzieci zaczynały grać pod ich opieką nuty dzisiejsze.

Wreszcie w ostatnim roku zaprosiłam do Dunajca wybitnych artystów lalkarzy: Stanisława Iłowskiego¹⁸ i Janinę Wesołowską. W prymitywnych warunkach, w wielkim trudzie, zupełnie bezinteresownie, uczyli oni nasze dzieci sztuki lalkarskiej i wystawili jedną sztukę. Przedstawieniem tym potem ja i moja wnuczka, która od niemowlęctwa rosła w góralszczyźnie, kierowałyśmy przez jedno lato. Zresztą dzieci były tak zdolne, powiedziałabym, utalentowane, chętne i pracowite, że same mogły dawać przedstawienia, jeśli tylko pomogło się im opanować teksty i nauczyć ruszać lalkami. Teatrzyk ten miał wszelkie warunki rozwoju. Niestety zaczęłam się już „kończyć” w Dunajcu. Napisałam też dzieciakom wierszyk na rozpoczęcie lalkowego przedstawienia. Jak one ten wiersz mówiły! Zawsze słuchałam ze wzruszeniem.

W społecznym życiu wsi co rusz trzeba było komuś przyśpiewać, aby wyrazić naszą, a przede wszystkim dunajczan opinię albo pobudzić ich do wyrażenia z nami tej opinii. Czasem trzeba było delikatnie podsunąć ludziom obyczaj okazania życzliwości, wdzięczności, przyjaźni.

Ostatni rok mego pobytu w Dunajcu mógł być pierwszym rokiem poważnej roboty społecznej, gospodarczej, którą podjęłam w porozumieniu z władzami Izby Rzemieślniczej i Spółdzielczości Pracy. Organizowałam nowy typ spółdzielni artystów ludowych, właśnie w ramach działalności Izby Rzemieślniczej. Artysci rzemieślnicy, a należy do nich chyba co czwarty góral, otrzymywali na podstawie specjalnej dyspensy, to jest bez egzaminu teoretycznego, a jedynie na podstawie okazanych własnych wyrobów, kartę rzemieślniczą. Każdy z nich stawał się wtedy samodzielnym twórcą i producentem, mógł mieć uczniów i pomocników, miał prawo zrzeszania się w nowego typu również spółdzielni,

¹⁷ Stanisław Mierczyński (1892–1954), muzyk, kompozytor i etnograf, zbieracz i wydawca góralskiej muzyki ludowej.

¹⁸ Stanisław Iłowski (1901–1978), reżyser teatrów kukielkowych, publicysta, autor inscenizacji teatralnych oraz prac teoretycznych: *Podręcznik dla amatorskich zespołów teatralnych* (1955), *Teatr lalek dla wszystkich* (1962), *Vademecum teatru amatorskiego* (1967).

w której specjalny wydział „Remex” organizował swoim członkom zbyt wyrobów artystycznych za granicą.

W przyszłości ta poważna instytucja, jaką jest Izba Rzemieślnicza, mogła nam wybudować Dom Ludowy, z którego korzystałaby częściowo w lecie, organizując w nim wczasy dla swoich pracowników i ich rodzin. Dom byłby zbudowany tak, aby te wczasy nie dezorganizowały jego wewnętrznego życia. Zespół artystyczny miałby nareszcie stałego opiekuna zainteresowanego nim bezpośrednio, bo reprezentowałby miejscowe spółdzielcze środowisko.

Już kilku ludzi miało karty rzemieślnicze, już kilkunastu wpisało się na listę członków tej nowej spółdzielni, a w najbliższym czasie mieli do niej przystąpić następni kandydaci. Zorganizowaliśmy więc pokaz wyrobów białodunajeckich artystów. Przyjeżdżały kilka razy władze Izby i spółdzielni z Krakowa i Warszawy. Wyroby nasze uznano za piękne, solidne i godne pokazania światu.

Mówiono wiele lat temu, kiedy sąsiedzi patrzyli na nas okiem rywali, że nic dziwnego, że mamy liczny zespół, bo przecież płacimy jego członkom. Nie, nie płaciliśmy, co rzeczywiście robiono w innych zespołach pod pozorami przydziałów, nagród, wreszcie dzieląc zarobki zespołu. Ale naszym członkom wypłacało Ministerstwo Kultury i Sztuki ekwiwalent obliczonych realnych strat, zsumowany i rozłożony na dwanaście rat miesięcznych. Najwyższy ekwiwalent wypłacany w najpracowitszym czasie zespołu wynosił trzysta złotych miesięcznie. Było to zdrowe i sprawiedliwe. Suma ta w żadnym wypadku nie pokrywała strat rzeczywistych każdego z członków zespołu, ale była wyrazem troski o nich, co wysoko sobie cenili. Zespół nasz nie odwracał się od sali mało wypełnionej, dawał z siebie wysiłek rzetelny niezależnie od tego, ile złotych wpłynie do kasy na tym czy innym przedstawieniu. Był to właściwie zespół półzawodowy, w tym znaczeniu, że zobowiązany był do dawania takiej liczby przedstawień i takiego wysiłku w pracy i w nauce, na jaki mógł się zdobyć tylko zespół zrzeszający ludzi pracujących na etatach.

Zamiarem moim było intensywne kształcenie zespołu. Chciałam już w najbliższym czasie zaprosić do współpracy najtęższych artystów, aby ten zespół ludzi żyjących i działających w rodzinnym środowisku osiągnął wysoki poziom artystyczny, aby sięgnął po nowe formy sztuki, nawet uscenicznionej nowoczesnej, nawet stylizowanej, ale pozostającej nieustannie pod kontrolą środowiska. Swoją pracę poddawałam stałej kontroli tego środowiska, a jednocześnie kontroli dyrektora Muzeum Tatrzańskiego, pana Juliusza Zborowskiego¹⁹, którego uważałam za najwyższy autorytet w dziedzinie kultury Podhala.

¹⁹ Juliusz Zborowski (1888–1965), profesor etnografii, badacz historii i kultury Podhala, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem (1922–1965).

Po latach mogłam już sobie ufać. Znam życie, myślenie i obyczaje górali tak jak ich gwarę, pieśń i muzykę. Widzę drogi dalszego artystycznego i społecznego rozwoju tej wspaniałej kultury w nowych warunkach, na nowe, bogate tworzywo dla kultury polskiej. Niestety, nie widzę ludzi, którzy by poza dobrą wolą, miłośnictwem góralszczyzny i wyżywaniem się w niej organizowali warunki jej rozwoju.

Zespoły artystyczne, najwyżej skaczące w tańcu, choćby otrzymywały najwyższe nagrody, sprawy nie rozwiążą. Przeciwnie, wprowadzą zamęt ambicji i zawzięści, zaprzepaszczą tradycje mądrych miłośników góralszczyzny, nie jako terenu przeznaczonego na rezerwat „folkloru”, ale jako środowiska społecznego tak bogatego i twórczego, chociaż w tej chwili sprowadza się je do muzealnego zasklepienia, że wymagającego szczególnej troski nieprzeciętnych, nieurzędniczych i niekoniunkturalnych głów, talentów i wyobraźni. Musi być przemyślana, oparta na doświadczeniach nas wszystkich idea i organizacja życia kulturalnego góralskiego środowiska. Musi być żywy ruch kulturalny, obejmujący wszystkie wsie góralskie, nie tylko kilka wybranych, uprzywilejowanych, zagłuszających inne.

Zaczęliśmy w Dunajcu skromną, podstawową organizację takiego życia. Kilkanaścioro członków naszego zespołu przygotowało się z nami do dobrowolnego instruktorstwa w sąsiednich wsiach. Do kilku z nich już chodzili i jeździli, pomagaliśmy młodemu zespołom, szczególnie w organizowaniu repertuaru i przekonywaniu ich o potrzebie wychowywania się w zespołach artystycznych. To pociągało młodzież, czasem wzruszało. Nie narzucaliśmy naszych pieśni, tańców i sztuk. Na Podtatrzu każda wieś ma swoje bogactwo form i treści. Chodzi o umiejętność organizowania im ich własnego życia zespołowego i widowisk o wysokiej sile artyzmu i postawy moralnej, ideowej.

Pewnego roku graliśmy sztukę napisaną przez panią Hannę Zachemską na podany przeze mnie i omówiony przez nas wspólny temat. Wciągałam ją, jako dawniej działającą, tak samo jak panią Gut-Stapińską, do współpracy. Szanowałam ich dorobek i tradycje, jakie zostawiły po sobie. Łączyłam swoją pracę z ich pracą, aby gruntować w środowisku ufność do spraw, przyjaźni i dóbr moralnie stałych, co jest fundamentem zdrowych, nowych budowli. Otóż sztuka napisana przez panią Helenę miała tytuł *Na polanie* i mówiła o prawdziwym wydarzeniu na Podtatrzu, a mianowicie:

W czasie burzy i ulewy jeden z juhasów chciał ratować owce od zatopienia. Zganiał je w ciasny kierdel, przepędzał z rwącej wody. Spostrzegł, że odłączyła się od stada mała owieczka. Wiedział, że jest to jedyna owca starej, bardzo biednej kobiety, i za wszelką cenę postanowił ją ratować. Wołał też na pomoc innych pasterzy i opowiedział im o starej kobiecie. Ratując owieczkę, zginął:

porwała go woda nagłym, rwącym wodospadem. Gdy dziewczęta szły do kościoła w niedzielę w sąsiedniej wsi, przechodząc przez potok kładką, zobaczyły coś błyszczącego w wodzie. To była spinka przy koszuli juhasa, który zginął, ratując owieczkę.

Historia ta stała się natchnieniem do napisania sztuki. Jakże wzruszali się nią górale! Jak pięknie grali: Gondek, Hela Buńda, Franek Hazuków... Po tę sztukę przychodzili do nas górale z wielu wsi. Bo mówiła o jakiejś społecznej, dobrej sile, objawionej w młodym góralu. Tego pragnęłam, żeby już nie tylko popisy taneczne i egzotykę góralską, ale bogate, twórcze treści środowiska wprowadzać jako tworzywo do góralskich zespołów artystycznych.

Taniec, śpiew, muzyka niech będą tych treści ozdobą, tak jak są ozdobą i radością życia. Niech współgrają z nimi w słowie, charakterze urody, w formie wypełnionej treścią. Oto moje plany, marzenia, moja praca szesnastoletnia, wreszcie jeszcze jedna klęska.

Złe wiatry powiały, trzeba było odejść, i to z piętnem człowieka, który nie dotrzymał moralnych zobowiązań i wobec górali, i wobec życzliwych ludzi, którzy szli do nas z organizacją gwarantującą harmonijny rozwój życia gospodarczego i kulturalnego w Białym Dunajcu i w sąsiednich wsiach góralskich.

Nie będę się starała wnikać w przyczyny tego zjawiska. Powiedzmy, że nie odpowiadałam jakimś ludziom, których racje przeważały. Że ci ludzie są w tej chwili bardziej potrzebni. Tacy, jacy są. Powiedzmy, że ktoś się pomylił, a potem już nie może bez narażenia swego i swoich władz autorytetu cofać się i usprawiedliwiać. Mówi się „trudno” i żyje się dalej.

Moje dunajeckie dróżki porastają trawą, czas mija, upłynęło już sporo lat. Cios był tęgi, zachować po nim równowagę trudno, ale poddawać się? Nie. Do tak słabych ludzi nie należę.

Kiedy myślę o Dunajcu, widzę przede wszystkim ich, moich młodych przyjaciół, z którymi przeżyłam i przepracowałam w zespole szmat czasu pełnego „wszeliniejakiego” bogactwa – nie tylko artystycznego. Bardzo za nimi tęsknię. Z wieloma wymieniamy listy, życzenia... Niektórzy odwiedzają mnie w Warszawie. W każdej chwili wspomnień o Dunajcu mam prawo powiedzieć, że szanowaliśmy się, ufaliśmy sobie, przyjaźniliśmy się – wzajemnie. Niektórzy członkowie zespołu wychowali się w nim, na przykład Anielcia Dańko, dziś Stupska, kierowniczka sklepu turystycznego w Zakopanem na Krupówkach. Miała piętnaście lat, kiedy do nas przyszła.

Piszę o Białym Dunajcu tak dużo dlatego, że tam byłam najbardziej samodzielna, nie wypracowywałam sobie zaufania i autorytetu ani tradycją wiciową i szycko-gacką, ani powagą wieku czy doświadczenia. Zaczęłam od początku, zdobywałam zaufanie ludzi, służąc im najszczerzej. Nie będę przytaczać dowo-



Zespół w Białym Dunajcu. „Witajcie, Krzesnońce, i wy, chłopcy” – mówi Anielcia Dańko do Władysława Gondka i chłopców zaproszonych na „posiady”

dów tego zaufania. Nie tylko zaufania: szczerej, serdecznej przyjaźni. Wzajemnej.

Moje przywiązanie do Dunajca wypełnia mi życie radością i goryczą. Chciałam poświęcić tej wsi swoje ostatnie lata. Sprawdzalam swą użyteczność u takich ludzi jak dyrektor Zborowski, jak dawni działacze w Dunajcu, w partii, wśród ludzi parających się w powiecie kulturą z urzędu. Sprawdzalam ją wreszcie w swoim sumieniu. Nie jestem zarozumiała, mam nieustającą ciekawość nowego, idę ku ludziom z sercem szczerym, nie boję się własnej i cudzej myśli krytycznej.

Dunajec, Dunajec, piękne położenie,
Przechodzi się po nim moje pociesynie.

Tak śpiewają dunajczanie i ja z nimi.

Pod koniec mojej pracy przyjechała do mnie Matka. Przez jakiś czas czuła się obco, niepewnie. Nieśmiało, z ubocza obserwowała moje współzycie z ludźmi, pracę z zespołem i coś jakby zachwyt i podziw wyrażała coraz śmielej.

Przede wszystkim dla środowiska i dla charakteru naszej pracy. Nareszcie dała wyraz uczuciom skrywanym długo i uparcie. Nie zapomnę nigdy tej chwili, kiedy przytuliła się do mnie i powtarzała szeptem: „Ach Zosinko, Zosinko”.

Zrozumiałam Ją. Bardzo mnie wzruszyła ta Jej niespodziewana czułość. Zrozumiałam, że to wiele lat ukrywana i tłumiona tęsknota do uczuć dziecka, wobec którego czuła się tak nieśmiało, odezwała się w niej i ujawniła w tym szepcie. Umiała przecież okazywać czułość moim chłopcom, którzy także do Niej łgnęli, i wierzyłam, że więź między babką a wnukami będzie się zacieśniała. Serdecznie tego chciałam. A przecież teraz, kiedy tuliła się do mnie, nie umiałam wyjść naprzeciw temu nagle ośmielonemu pragnieniu wzajemnej miłości. Nie umiałam. Trudno mi określić ten bardzo złożony stan jakiejś sztywności wewnętrznej, który udaremnił ostateczne zbliżenie się.

A przecież widziałam w Matce nie tylko urodę, ciepłą kobiecość i dar budzenia w ludziach uczuć życzliwych. Przeczynałam Jej wewnętrzny, głęboko skrywany świat doznań.

Kusiło mnie przeniknięcie tego świata, poznanie Jej ciekawej osobowości. Mimo to nie umiałam się pozbyć sztywności i pozornego chłodu.

Odwiozłam Ją do Krakowa autobusem. Była wiosna. Jak czarowała ta wiosna podhalańska i krakowska – nie trzeba mówić. Matka moja ze łzami w oczach wchłaniała w siebie urodę górską, polską, której prawie nie знаła, bo swoje dorosłe lata przeżyła w Rosji.

W pewnej chwili powiedziała: „Pewnie pierwszy i ostatni raz oglądam te cuda”. I w następnym roku już nie żyła. Wszystko między nami pozostało niedomówione i nierozkwitłe. Obydwie pragnęłyśmy się zaprzyjaźnić i pokochać, a broniłyśmy się przed tym.

Całe życie Matki, jej szeroka działalność dobroczynna w Rosji i ofiarna, omalże pokutnicza w kraju, stała troska samarytańska o cierpiących – chodziła na przykład do ciężko chorych, pielęgnowała ich, opatrywała cuchnące rany – wszystko to świadczyło nie tylko o Jej wrodzonej dobroci, ale także o jakiejś chęci zagłuszania w sobie niepokoju, może tęsknoty. Byłyśmy do siebie podobne. Minęłyśmy się w życiu, przeszłyśmy obok siebie jak ludzie obcy, ale tylko pozornie obcy. Nie zdążyłyśmy się wzajemnie odnaleźć, chociaż odnalazłam Ją wtedy, w kantynie legionistek na Agrykoli...

Kończy się moje życie niełatwe, pełne wszelkiego bogactwa i w środowisku, w którym żyłam, i we mnie samej. Czy zostało ono rzetelnie wykorzystane dla sprawy, której służyłam? Na pewno nie. Czy biję się w piersi ze skruchą i mówię: „Moja wielka wina”? Także nie.

Wiem, że pragnieniom, wysiłkom, osiągnięciom moim odbierały siłę i harmonię wewnętrzną słabości mego charakteru, zbytnia niecierpliwość, często zbytnia bliskość z ludźmi, których trzeba było wspierać i umacniać, nie osłabiać własnej słabości. Wiem, wiem, bardzo dużo wiem i rozumiem. Nie wszystkiemu podolałam. Może było mnie stać na więcej.

Tęsknię do pracy z młodzieżą, z ludźmi. Do pracy zespołowej. Przez jakiś czas prowadziłam miły zespół w Liceum Pedagogicznym w Warszawie na Czer-
niakowskiej. Z początku miałam tremę, było ciężko... Że niby „inna młodzież”.
To nieprawda! Może trochę inaczej trzeba ją wołać, pukać do jej serc i budzić
zainteresowania. Z tą gromadką nazwałyśmy się „Dziobakami” od jednej z pio-
senek Agnieszki Osieckiej. Nie ma już tego typu liceów i nie ma zespołu. A mło-
dzież była bardzo kochana. To moi nowi przyjaciele.

Ostatni mój wysilek to praca z zespołem w majątku Instytutu Ziemiańska
w Młochowie²⁰, w powiecie pruszkowskim. To najtrudniejsza młodzież, jaką
znałam. Podmiejska. Bez środowiska. Wychowująca się w autobusach, w kolej-
kach podmiejskich i na dworcach. A przecież to ostatnie moje dzieci, najmłod-
sze, bardzo drogie. Znowu widowiska, które podbijają serca nawet twardych,
podmiejskich ludzi, i bez końca piosenki, piosenki... Znów jedna rodzina,
w której uczymy się myśleć, kochać i działać. Nie mając siły na dojeżdżanie
przepelnionym autobusem dwa razy w tygodniu, czasem nocowałam w Młoch-
wie. Nie trzeba się śmiać z tego, że pokochałam te bezpańskie pola i lipami wy-
sadzone drogi, ten park opuszczony, prześliczny, a przede wszystkim ludzi pra-
cujących w szklarniach i na polach Instytutu.

Przez dziesięć ostatnich lat pracowałam z zespołami bez wynagrodzenia.

Wspomnę jeszcze o dwóch moich podróżach poza granice kraju. Jedna
z nich była spotkaniem ze światem starym, druga zachwyciła mnie młodością
i obrazem przyszłości każdego narodu, który sięgnie po ożywczą siłę chłopskie-
go obyczaju, chłopskiej kultury, jakże życzliwej przemianom dokonywanym
przez bardziej zorganizowany ruch nazywany robotniczym, a ściślej – socjali-
zmem.

Pierwszy był mój wyjazd do Anglii. Wezwał mnie do siebie profesor Stefan
Stasiak. Było to w 1959 roku. Tu koniecznie trzeba by nie było jakiego pióra, że-
by i tę podróż, i mój pobyt w Londynie opisać. Ale nie w pamiętniku.

Wzruszające było życie profesora wśród milionów ludzi starego miasta, wła-
ściwie pustelnicze. Rozmowy nasze ciche, długie, sięgające czasów Mięsego,
zawsze kończyły się jakby wejściem na wzgórze, z którego widać było ogromny
szmat życia, niedostrzegany w jarmarcznym hałasie naszych powszednich dni.
Profesor wracał ciągle, jak do źródła, do filozofii Indii, do syntezy kultur świata,
do wizji przyszłości, w której rozkwitnąć muszą wszystkie siły kulturowe, wszyst-
kie idee wywodzące się z miłości człowieka i świata. Marzył, że uda mu się

²⁰ Młochów, wieś w pow. pruszkowskim, w gm. Nadarzyn, siedziba parafii (kościół Świętego
Michała). We wsi znajduje się Ośrodek Naukowy Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin mie-
szący się w XIX-wiecznym zabytkowym pałacu.

osiedlić w Rosji i przekonywać ludzi oddziałujących stamtąd na wielkie obszary świata o tym, że w filozofii Indii znajdują sprzymierzeńca dopełniającego ich dzieła.

Prowadził mnie do wielu bibliotek, na cmentarze, do dzielnic, w których mieszkali Grecy, Hindusi, Murzyni, na ulice biedoty i inne, pełne bogatych magazynów, ruchu, nawet zapachu bogactwa i wytwornego świata.

Przeogromnego wrażenia doznałam w British Museum. Jego ogrom, kształt kopulasty, przypominający świątynię, cisza w tej wielkiej przestrzeni i piętra książek. Bywalcy muzeum czytali w zacisznych „przegrodach” rozchodzących się promieniście od środka ku obwodowi ogromnego koła. Przeczytałam wiele książek, których w kraju nie można dostać. Ze wzruszeniem znalazłam w tym morzu ksiąg moją małą książeczkę o Dunajcu: *Skalni ludzie*.

Odwiedziłam kolegę Jana Jaworskiego²¹, znanego w Londynie lekarza, naszego serdecznego przyjaciela z wiciowych czasów i dróg. Byłam w lokalu naszych kombatantów, w kilku ośrodkach polskich, rozmawiałam telefonicznie z generałem Tokarzewskim, umówiliśmy się na któryś dzień przyszłego tygodnia, ale nie zdążyłam go zobaczyć. Musiałam wcześniej wrócić do Warszawy.

Wszystko co najważniejsze dla mnie koncentrowało się jednak w pokoju profesora, wokół jego promieniującej ciszą, jakimś wtajemniczeniem osobowości.

Małe gospodarstwo profesora prowadziła jego asystentka, panna Janina Domańska z Warszawy. Właśnie przygotowywała się do wyjazdu do Teheranu, studiowała – poza sanskrytem, kulturą Indii i językoznawstwem – język perski. Nielatwy jest los wielu jeszcze Polaków w Londynie. Pani Janka zarabiała sprzątaniami na uniwersytecie...

Zaprzyjaźniłyśmy się. Trzeba też było przeżyć konflikt pomiędzy profesorem a Janką, ponieważ żądał, aby zostawiała go ze mną, żeby szła z domu. Było mi przykro i okazywałam Jance szczególnie dużo serdeczności.

Najmilsze były wieczory, wolne od skłóceń, a wypełnione słowami profesora. Trudno mi było i jest zrozumieć, jak można tak niewieloma słowami tak wiele powiedzieć. W małej kuchence Janka krzątała się, przyrządzając wieczerzę. Profesor na małej kanapce siedział zapałtrony w to, o czym mówił, ja słuchałam urzeczona, siedząc na „moim” malutkim stołeczku. Szumiała woda na kuchence, było jasno i przytulnie. W czasie tych rozmów wieczornych patrzyłam z zachwytem na obraz wiszący na wprost mnie, przedstawiający hinduską kobietę

²¹ Jan Jaworski (1898–1981), lekarz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, członek POW, uczestnik wojny z bolszewikami, działacz ZMW „Wici” i Stronnictwa Ludowego (prezes Zarządu Wojewódzkiego w Kielcach). Od 1939 roku na emigracji. Pracował jako lekarz w Wielkiej Brytanii. Utrzymywał kontakt z krajem. Był współorganizatorem i wiceprzewodniczącym Zagranicznego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

w ciąży. Jakże piękny był ten obraz i jak wiele wyrażał, wzruszał, wciągał do szukania mądrości i prawdy.

Wtedy w czasie tych wieczorów zrozumiałam, jak się upraszcza i zniekształca prawdę o Indiach. Jak mali ludzie porywają się na ocenę, na kpiny, na udawanie wiedzy, kiedy rzekomo pouczają o filozofii Hindusów i ich obyczaju.

Treść rozmów naszych osobistych, dotyczących Mamusi Symonowiczowej, jej życia, tragedii, a także losu i etyki profesora Stasiaka, pozostanie na zawsze między nami.

Wracałam do kraju z bardzo mieszanymi uczuciami. Wspominam drzewo rosnące przed oknem domku profesora. Jest to drzewo o tłustych twardych liściach, kolczaste, ciemnozielone. To kolczaste drzewo dziwnego kształtu kojarzy mi się zawsze z profesorem Stasiakiem.

Odprowadził mnie na róg ulicy; był roztrzęsiony, przerażony, tragiczny. Wyszedł, trzymając w ręku jakieś moje rzeczy, w szlafroku i w pantoflach. Jego głowę otaczała aureola siwych, potarganych włosów. Całowałam jego rękę drżącą, patrzyłam w oczy pełne łez, w poczuciu jakiejś winy... Długo stał, kiedy odjeżdżałyśmy z Janką samochodem (taxi), z podniesioną ręką, z tymi rozwianymi włosami... Rozpłakałam się. Z żalu i bezsilności. Bo cóż ja mogłam? Był samotnikiem. Cały świat miał w sobie.

Kilka miesięcy po powrocie do kraju dostałam od Janki telegram: „Profesor nie żyje. Wypadek. Wpadł pod samochód”.

Potem przyszedł list, w którym opisywała ten tragiczny wypadek. Stało się to przed Muzeum Brytyjskim, z którego jak zawsze wychodził na boczną ulicę. Nie widział ukrytego za drzewem znaku ostrzegawczego. Zresztą był jak zawsze zamyślony. Po moim wyjeździe podobno nie mógł wrócić do równowagi.

Odeszli więc z życia wszyscy czworo: Tatuś, Maria, Stefan i zaraz po nim, a umierała, powtarzając jego imię, Helena – Ciocia Lena. To byli ludzie, którzy tworzyli klimat, warunki i legendę mojego życia.

Śmierć Cioci Leny przeżyłam bardzo ciężko. Poczułam się sieroco, opuszczona i zdradzona. Bardzo ją kochałam. Jestem i będę do końca pozbawiona oparcia tego mocnego człowieka. Nie ma świadka mojego dzieciństwa, moich najtajniejszych uczuć, mojej młodości, całego mojego dojrzałego życia.

Nie ma pociechy po stracie najdroższych ludzi. Straciłam przyjaciela, ojca moich dzieci, córkę jedyną, ukochaną, i Ciocię Lenę, jakby prawdziwą moją matkę. Któż może się dziwić, że cały skarbiec życia – to synowie...

Tak oto moja podróż do Londynu stała się jakby początkiem końca historii czworga bliskich mi ludzi, w której i ja jako dziecko, a potem dorosły już i samodzielny człowiek, odegrałam jakąś rolę. Mam jeszcze listy Mamusi i Stefana do Tatusia, przekonujące go o tym, że powinien im pozwolić zabrać mnie do

Paryża, gdzie otrzymałabym wykształcenie konieczne do życia twórczego o najszerszych horyzontach. Kochano mnie, byłam przedmiotem sporu bliskich mi ludzi.

Ta karta mojego życia została zapisana i zamknięta.

A druga podróż, trzy lata temu do Finlandii, to nagroda za wiele trudów. Pojechaliśmy nas czternaścioro z Białego Dunajca. Zawdzięczam to Związkowi Młodzieży Wiejskiej²². Dobrze znoszę podróże samolotami i ta podróż była tylko radością. Szmata Polski, Bałtyk, Szwecja, gdzie lądowaliśmy na godzinną przerwę, i wreszcie Finlandia to niezapomniane obrazy, wrażenia. Zespół trzymał się dzielnie. Górale, jak zwykle wrażliwi na nowość, na poznawany świat i na piękno, zachowywali się jak ludzie dużej kultury, jak artyści subtelnie odbierający wrażenia.

Finlandia. Suomi. Ukochany kraj mojego dzieciństwa. Ileż to nasłuchiwałam się o niej od Tatusia Symonowicza, od ludowców zwiedzających ten kraj leśny i rolny, o podobnej do naszej historii. Ile artykułów pisywali o Finlandii szczególnie wybitni działacze ludowi. Także skandynawska literatura dziecięca przybliżała mnie w jakiś sposób do Finlandii. Ponad wszystko interesowała mnie spółdzielczość tego kraju. To co tam zastałam przeszło moje wyobrażenia.

Rzadko kiedy pisze się dziś o tym, że dobrobyt, uczciwość i kulturę ogólną zawdzięczają Finowie właśnie spółdzielczości. Z ich tradycyjnej kultury wyrosła spółdzielczość jest siłą organizującą życie narodu, wychowującą ten naród na zasadach współdziałania i gospodarczej, realnej sprawiedliwości, o której tam się nie mówi, bo po prostu – jest.

Przejechaliśmy Finlandię dookoła po Laponię. Odwiedziliśmy wiele wsi, uczestniczyliśmy w zabawach młodzieży wiejskiej, oglądaliśmy z wysokiej wieży – restauracji ogromny szmat tej urokliwej ziemi, zwiedziliśmy kilka chłopięcych ogromnych zakładów wytwórczych, naturalnie spółdzielczych, i wiele chłopskich domów. Zespół przeżył ciekawą przygodę związaną z kąpielą w saunach, zaprzyjaźnił się z wieloma ludźmi, a wszyscy chodziliśmy jak we śnie, nie wierząc w realność poznawanego świata.

Ludzie w Suomi są prości, niewylewni, raczej małomówni. Kiedy na wielkim zlocie młodzieżowym chciałam zapisać przemówienie przewodniczącego Związku Młodzieży, nie zdążyłam wyjąć z torebki notesu i długopisu. Powiedział kilka zdań, wystarczających dla celu, jakiemu miały służyć.

²² Związek Młodzieży Wiejskiej, środowiskowa organizacja młodzieżowa założona w 1957 roku, działająca na wsi pod kuratelą PZPR i ZSL, zajmowała się działalnością oświatowo-kulturalną i społeczno-zawodową. W 1973 roku dodano do nazwy przymiotnik „socjalistyczny”, ale i to nie uchroniło Związku od połączenia z ZMS (1976). W 1980 organizacja została reaktywowana i w ograniczonym zakresie działa do dzisiaj.

Zdumiewała mnie na każdym kroku technika, jej funkcjonalność w każdym gospodarstwie, w każdej kuchni, tak pomysłowa, tak ułatwiająca życie codzienne, że czasem wierzyć się nie chciało w jej powszechność. Zdumiewała mnie ta wysoka, nowoczesna organizacja życia przy niespotykanym nigdzie na świecie, w takim stopniu, kulcie tradycji. Ten naród kiedyś zależny od kultury szwedzkiej i administracji carskiej Rosji, naród chłopski, rolny i leśny, rozwija wszechstronnie, mądrze swoje życie na mocnym fundamencie tradycji, obyczaju, sztuki, godności ludu, który osiągnął najwyższy szczyt kultury, i życzliwym uczestnictwem Finlandii w staraniach o zachowanie, pokoju na świecie.

Białodunajczanie nie dowierzali początkowo temu wszystkiemu, co nie mogło im się po prostu pomieścić w głowach. Na przykład na kilkunastu zabawach na przestrzeni całej Finlandii nie widzieli, nie „wywączali” ani jednego człowieka, który by pił wódkę. Młodzi ludzie na wsi piją tam mleko i napój przypominający nasz podpiwek, ale bezalkoholowy, coś jakby łagodny kwas chlebowy. Inaczej to wygląda w miastach... ale tak właśnie jest na wsi.

Jakże wiele było zdumienia, wzruszeń i weselości, a że w naszym zespole było kilku dowcipnych ludzi, bywało, że zaśmiewaliśmy się razem z naszym najmielszym przyjacielem panem Stefanem Widomskim, warszawiakiem, który był chyba najkulturalniejszym i najwspanialszym tłumaczem na świecie. Zaśmiewali się z nami także Finowie, nasi nowi serdeczni przyjaciele. Żarty, dowcipy sypały się w zespole, szczególnie w czasie podróży. A jeździliśmy autobusem, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam u nas w kraju: siedzenia w tyle wozu były o wiele wyższe od przednich, więc głos skupiał się, wyrazistość każdego słowa stawała się duża, jasna.

Wszyscy czuliśmy się bardzo szczęśliwi, ale ja przeżywałam swoje pierwsze od wielu lat dni pełnej radości. Odpoczywałam. Jak na wakacjach po maturze. Albo jakbym przyjechała do najbliższych przyjaciół, u których mogę beztrąsko myśleć o świecie i w ludziach widzieć wszystko co najlepsze. To była może ostatnia wielka radość w moim życiu.

Kiedy oglądałam się za siebie, widzę na szerokim błoniu wzgórza, może kilka wysokich szczytów... Kiedy to było? Może wtedy, kiedy kochałam najpiękniejszych ludzi: Ich Oboje i Ich tam, w Paryżu, moją rodzinę, która przyjęła mnie sercem, moich najmądrzejszych i najbardziej uroczych nauczycieli, druhnę Jagę Falkowską²³, wspaniałego człowieka i tak pełną urody ludzkiej, kwietnej,

²³ Jadwiga Falkowska (1889–1944), nauczycielka, współorganizatorka Związku Harcerstwa Polskiego, przed pierwszą wojną światową organizowała drużyny harcerskie między innymi w Warszawie, w Poznaniu i Wilnie, naczelniczka kwatery żeńskiej ZHP (1926–1927), w czasie wojny w Armii Krajowej. Zginęła w Powstaniu Warszawskim zamordowana przez zbrodniarzy rosyjskich z brygady RONA.

gwiazdnej... bo właśnie o gwiazdach opowiadała nam przy ognisku na kursie instruktorów harcerskich w Zwierzyńcu Zamojskim. Kolegów i przyjaciół, chłopców i dziewczęta, z którymi szłam ku światu, ku ludziom, ku spełnieniu idealów naszej młodości. Wielu moich uczniów i słuchaczy. Może teraz wyrosły najwyżej te dwa moje „szczyty” – moje dzieci – i przysłoniły mi nieco innych.

Dlaczego ma to być moją słabością, że w ludziach widzę bogactwo i piękno? Przecież wiem, że są oni często słabi, że mylą się, że bywają źli i groźni. Ale w każdym człowieku widzę te cechy osobowości, które zawsze są cudem stwórczym, jego wartość, bodaj wyluskaną z twardej skorupy charakteru, usposobienia, zaśmian niezależnych od niego słabości. Najtrudniej przychodzi mi życzliwość dla ludzi zimnych, gardzących innymi ludźmi, poniżających w nich godność ludzką. Bywało, że nawet unosiłam się złą pasją, pragnieniem zemsty.

Kiedy jednak bardzo potrzebne mi jest pokrzepienie, jakaś radość mocna i ostra, biegnę myślą ku Tatrom. Ku ludziom, którzy najpiękniejszym gwarowym słowem mówią po prostu o sprawach życia i śmierci:

Góry moje, góry, gronie moje, gronie.
Kie umiyrł będę, jesce pożrem na nie.
Na wysokim sc-icie śleboda i z-icie.
Na wysokiej perci pokłoniem się śmierci.

Nie chcę kończyć tych wspomnień żalobną nutą. Pragnę przecież żyć, tęsknić do pracy z młodzieżą, czuję niezawodne siły do przekazywania ludziom ich własnego życia, zaklętego w poezję i piosenkę, wczarowanego w ludową sztukę. Kończę nieukończony żywot, chociaż właśnie mi mija wiek dostojny: kończę siedemdziesiąt lat.

W Szycach, w Gaci i w Brusie mieliśmy zwyczaj dziękowania sobie po posiłkach, czasem też przy pożegnaniu, podając sobie ręce w kole. Wszystkie ręce jednocześnie łączył uścisk. Tak, właśnie tytuł jednej z książek Marii Dąbrowskiej to *Ręce w uścisku*.

Otóż kończąc te moje wspominki, ten mój pamiętnik, podaję ręce ludziom najbliższym, oni znów najbliższym sobie i tak tworzymy ogromne, ogarniające świat koło braterstwa. Naprawdę nie ma w tym kole nikogo, dla kogo czułabym pogardę, kogo mogłabym nienawidzić. Korzystam jednak z prawa wyboru i obejmuję ramionami najbliższych z niskim pokłonem.

Duża jest nasza społeczna rodzina. Rozeszliśmy się po wsiach i miastach, po drogach, czasem bezdrożach naszego kraju.

Nie ze wszystkimi szycakami i gacakami spotykamy się, wymieniamy listy. Po prostu życie obarczyło nas obowiązkami i troskami, pozrywały się nici stałego obcowania. Na pewno też nie dla wszystkich obcowanie ze mną jest konieczne

i pożądane. Przypadkowe często spotkania dają nam wiele wzruszeń. Kilka razy w roku otrzymuję i wysyłam pozdrowienia i życzenia, czasem dłuższe czy krótsze, pełne dobrych słów listy.

Spora jest jednak gromadka, z którą widzimy się często, a nawet stale. Czasem, według swego nawyku wzruszona ich przeżyciami, wspomnieniami i opowiadaniem o nich, wyrażam im swoje myśli słowami składanymi w przyspiewki, pieśni, wiersze.

Oto ich wiązanka poświęcona tym wychowankom i wykładowcom Szyc i Gaci, z którymi zbliżyło mnie w ostatnich latach samo życie. Słowa, które im poświęcam, należą się w równej mierze setkom naszych wspólnych przyjaciół z rodziny uniwersytetów ludowych.

Kubie Baranowi

Przebył trudną i długą drogę,
Od bogacza do „kolchoźnika”.
Nie z musu, a z dobrej woli,
Bo nudne jest życie bez ryzyka.
Różnie mówią: „warto”, drudzy „gdzie tam”,
Kto by wróbla w garści za wiatr mieniał.
Czy to będzie rodzić zdrowym plonem
Ta niczyja, jak sierota – Ziemia?
Chodzi Kuba po spółdzielczym polu.
Widzi bujne oziminy wiosną.
Potem plony żniw, a tu – nie tylko
Zboże, ale patrzcie, ludzie rosna.
Chodzi Kuba i oblicza plony...
Wieczór miły, gwiazdy świecą jasno.
Plony, ludzie, dzieci roześmiane,
Wszystko nasze, wszystko moje, własne.

Zosi Derdasiównie-Litewkowej

Przesadzili roślinkę z lasu
Do miejskiego, strzyżonego parku.
Oberwali zielone gałązki,
Sprzedali na jarmarku.
Ale drzewko miało moc leśną,
Twardy korzeń, szum lasu w liściach...
Więc wyrosło w strzyżonym parku
Strzeliste, rozłożyste.
Chodzą ludzie po miejskim bruku.
Wiatr gałęziami kołysze.
Tu spoczniemy, mówią strudzeni.
Tu jest cień, spokój, cisza.

Stefie Drażance

Kwiatku z panieńskiego wianka
Białoróżowy.

Kto cię zaklął w cierni krzew koleczasty
O kwiatach purpurowych.

Ptaszku leśny, ćwierkający o świetle,
Kto ci zburzył gniazdo, zatrul życie
I szpony przypiął do nóżek.

Rosa czysta, przejrzysta, ożywcza,
Łąką bujna, w fioletach i w bieli,
W urodzie traw i ostróżek.

Kto ciebie skaził, zakrwawił,
Kto się ośmielił?

Dziewczyno jak kwiat biały, jak ptak śpiewający.
Jak ta rosa ożywcza na łące.

Kto ciebie skaził, przemienił
Z gołębiczy w sokoła zażartego w łowach.
Kto cię omamił, zaczarował.

Białoróżowa

Ptaszeczka,

Partyzancka dziewczyno zaczarowana..

I kto mógł przewidzieć,

Że bita, więziona, katowana,

Będiesz męska – bohaterska

Niepokonana.

Józefowi Rutowi

Jedni biegną do celu w pośpiechu,

Inni kroczą spokojnie, wytrwale.

Jedni o los grają na loterii,

Inni kuja swój los jak kowale.

On jest taki. Tak kroczy i kuje.

Waży, mierzy, ogląda, rachuje...

Mówią jedni: to jest wzór i przykład,

Drudzy mówią: on chyba coś knuje.

Ano właśnie, to jest jego sztuka,

Że planuje, rachuje i waży,

Marzeniami, jak spółdzielczym groszem,

Mądrze, po markowsku, gospodarzy.